

Śniadanie u Tiffany'ego

Truman Capote



Zawsze ciągnie mnie do miejsc, w których dawniej mieszkałem, do domów i okolic. Jest na przykład taka kamienica z ciemnego piaskowca przy jednej z ulic Siedemdziesiątych Wschodnich, gdzie podczas pierwszych lat wojny miałem swoje pierwsze nowojorskie mieszkanie. Był to pojedynczy pokój zagracony meblami z poddasza: kanapą i opasłymi fotelami tapicerowanymi tym szczególnym szorstkim czerwonym aksamitem, który kojarzy się z upalnym dniem w pociągu. Otynkowane ściany miały kolor przeżutego tytoniu. Wszędzie, nawet w łazience, wisiały upstrzone na brązowo od upływu czasu ryciny przedstawiające rzymskie ruiny. Jedyne okno wychodziło na schody przeciwpożarowe. Mimo to, ilekroć pomacałem w kieszeni klucz do tego mieszkanka, nastrój mi się

poprawiał, bo choć ponury, był to w końcu mój pierwszy własny kąt i znajdowały się tam moje książki i słoiki z ołówkami do zatemperowania, a więc, jak sądziłem, wszystko, czego potrzebuję, by spełnić marzenie o zostaniu pisarzem.

W tamtych dniach nigdy nie przyszło mi do głowy, aby napisać o Holly Golightly, i prawdopodobnie teraz też bym o tym nie pomyślał, gdyby nie rozmowa z Joem Bellem, która ożywiła moje wspomnienia o niej.

Holly Golightly była lokatorką tej kamienicy; zajmowała mieszkanie piętro niżej. Jeśli zaś chodzi o Joego Bella, to prowadził bar za rogiem, przy Lexington Avenue; nadal go prowadzi. Holly i ja zaglądaliśmy tam sześć, siedem razy dziennie, ale nie na drinka, przynajmniej nie zawsze, tylko żeby zadzwonić; w czasie wojny prywatne telefony należały do rzadkości. Ponadto sumienny Joe Bell był skrzynką kontaktową, wyświadczając Holly sporą przysługę, bo dostawała mnóstwo wiadomości.

Oczywiście działo się to dawno temu, a w zeszłym tygodniu zobaczyłem Joego Bella pierwszy raz od ładnych paru lat. Utrzymywaliśmy sporadyczny kontakt i czasem wpadałem do jego baru, gdy akurat znalazłem się w pobliżu, ale nigdy się bliżej nie zakolegowaliśmy

– poza tym, że obaj byliśmy przyjaciółmi Holly Golightly. Joe Bell, jak sam przyznaje, ma trudny charakter; mówi, że to dlatego, iż jest kawalerem i cierpi na nadkwasotę. Każdy, kto go zna, potwierdzi, że ciężko się z nim dogadać. A właściwie graniczy to z niemożliwością, jeżeli nie podziela się jego obsesji, z których jedną jest właśnie Holly. Pozostałe to: hokej na lodzie, wyżły weimarskie, *Nasza dziewczeczka Sunday* (tasiemiec radiowy, którego słucha od piętnastu lat) oraz Gilbert i Sullivan – twierdzi, że jest spokrewniony z jednym z nich, ale nigdy nie pamiętam z którym.

Tak więc kiedy późnym popołudniem w ostatni wtorek zadzwonił telefon i usłyszałem: „Mówi Joe Bell”, wiedziałem, że sprawa na pewno dotyczy Holly. Nie powiedział tego jednak, lecz:

– Możesz się tu pofatygować? – spytał skrzekliwym głosem, chrypiąc z podniecenia.

Pojechałem tam taksówką w strugach październikowego deszczu i po drodze nawet pomyślałem, że Holly będzie na miejscu, że znów ją zobaczę.

Ale w barze zastałem tylko jego właściciela. Lokal Joego Bella to spokojny zakątek w porównaniu z innymi przy Lexington Avenue. Nie może się poszczycić ani

neonem, ani telewizorem. W dwóch starych lustrach odbija się pogoda panująca na ulicy, a za kontuarem, we wnęce otoczonej fotografiami gwiazdorów hokeja, zawsze stoi duży wazon ze świeżymi kwiatami, które Joe Bell własnoręcznie układa z iście matczyną troskliwością. Tym właśnie był zajęty, gdy wszedłem.

– Oczywiście – odezwał się, wciskając mieczyk głęboko do wazonu – nie ściągałbym cię tutaj, gdybym nie chciał poznać twojej opinii. Dziwna sprawa. Wydarzyło się coś bardzo dziwnego.

– Masz wieści od Holly?

Dotknął palcem liścia, jak gdyby zastanawiał się nad odpowiedzią. Joe Bell to drobny mężczyzna o kształtnej głowie porośniętej szorstkimi siwymi włosami i kościstej, wyrazistej twarzy, która pasowałaby do kogoś znacznie wyższego; zawsze wydaje się opalony, a tego dnia był jeszcze bardziej rumiany niż zwykle.

– Nie mogę powiedzieć, że mam od niej wieści. Znaczący się, nie wiem. Dlatego właśnie chcę poznać twoją opinię. Zmajstruję ci drinka, dobrze? To coś nowego, nazywa się Biały Anioł – rzekł, mieszając pół szklaneczki wódki z taką samą ilością ginu, bez wermutu. Gdy piłem jego koktajl, on stał obok, ssąc pastylkę na nadkwasotę i układając w myśli to, co zamierzał mi

przekazać.

– Przypominasz sobie niejakiego pana I.Y. Yuniوشي? Dzentelmena z Japonii?

– Z Kalifornii – odparłem, doskonale pamiętając Yunioshiego. Jest fotografem jednego z magazynów ilustrowanych, a w czasach naszej znajomości mieszkał w kawalerce na najwyższym piętrze kamienicy z piaskowca.

– Bo zbijesz mnie z tropu. Pytam tylko, czy wiesz, o kogo mi chodzi. No dobra. I kto tu wczoraj wieczorem wparadował, jeśli nie rzeczony pan Yuniوشي? Nie widziałem go chyba ponad dwa lata. A jak myślisz, gdzie on się przez te dwa lata podziewał?

– W Afryce.

Joe Bell przestał gryźć pastylkę i spojrzał na mnie zmrużonymi oczami.

– Skąd wiesz?

– Czytałem u Winchella*. – Tak właśnie było.

Kasa brzęknęła, gdy otworzył ją i wyjął szarą kopertę.

– No to zobaczymy, czy o tym też pisał Winchell.

W kopercie znajdowały się trzy mniej więcej takie same fotografie, wykonane jednak pod różnym kątem

* Walter Winchell – amerykański dziennikarz prasowy i radiowy. Twórca kroniki towarzyskiej „New York Daily Mirror”.

widzenia: wysoki i delikatny Murzyn ubrany w spódniczkę z perkalu, z niby nieśmiałym, a jednak próżnym uśmiechem, trzymał w rękach dziwną drewnianą rzeźbę, wydłużoną głowę dziewczęcą, o przylizanych i krótkich włosach jak u młodego mężczyzny, o drewnianych gładkich oczach nazbyt dużych i ukośnych w zwężającej się twarzy, o szerokich, przesadnie uwydatnionych ustach, podobnych do ust kłowna. Na pierwszy rzut oka wyglądało to jak sztuka prymitywna; ale po chwili już nie, bo była to wypisz, wymaluj twarz Holly Golightly, a przynajmniej podobizna na tyle duża, na ile podobizną rzeczywistej twarzy może być nieruchomy ciemny przedmiot.

– I co ty na to? – spytał Joe Bell, napawając się widokiem mojej zdziwionej miny.

– Jak ona.

– Posłuchaj, chłopcze – klepnął dłoń w bar – to jest ona. Pewne tak samo jak to, że noszę portki na szelkach. Ten mały złotek od razu ją rozpoznał.

– Widział ją? W Afryce?

– Hm. Widział tylko tę głowę. Ale to na jedno wychodzi. Przeczytaj sobie – rzekł, odwracając jedną z fotografii. Widniał na niej napis: „Rzeźba drewniana, plemię S, Tococul, East Anglia, Boże Narodzenie 1956

r.”.

– Oto, co mówi ten złotek – ciągnął Joe Bell, a historia wyglądała następująco: w Boże Narodzenie pan Yunioshi przejeżdżał z aparatem fotograficznym przez Tococul, zapadłą i mało interesującą wioskę w dżungli, ot, zwykłe skupisko chat z gliny, z małpami na podwórkach i mysołowami na dachach. Postanowił ruszyć dalej, gdy nagle zobaczył Murzyna siedzącego w kucki w wejściu, który strugał laskę w małpie wzory. Pan Yunioshi był pod wrażeniem, więc poprosił go, by pokazał mu więcej swoich prac. Właśnie wtedy zobaczył rzeźbę przedstawiającą głowę dziewczyny i poczuł się, jak powiedział Joemu Bellowi, jakby śnił. Kiedy zaproponował, że ją kupi, Murzyn ujął w dłonie swoje genitalia (podobno to gest wyrażający czułość, porównywalny z położeniem ręki na sercu) i odmówił. Funt soli i dziesięć dolarów, potem zegarek na rękę, dwa funty soli i dwadzieścia dolarów, ale niestety, nic nie mogło go przekonać. Pan Yunioshi za wszelką cenę postanowił się dowiedzieć, w jakich okolicznościach powstała ta rzeźba. Kosztowało go to sól i zegarek, a opowieść została zrelacjonowana w narzeczu afrykańskim, łamaną angielszczyzną i za pomocą gestów. Wyglądało w każdym razie na to, że wiosną tego roku

z gęstwiny wyłoniła się trzyosobowa grupa białych jadących konno. Młoda kobieta i dwaj mężczyźni. Mężczyźni, obaj o zaczerwienionych od gorączki oczach, przez kilka tygodni musieli leżeć, rozdygotani i odizolowani, w odosobnionej chacie, podczas gdy kobieta, szybko zagustowawszy w rzeźbiarzu, dzieliła z nim matę do spania.

– W to ostatnie nie wierzę – rzekł świętoszkowato Joe Bell. – Wiem, że na wiele ją stać, ale wątpię, by posunęła się do czegoś takiego.

– Co było potem?

– Nic. – Wzruszył ramionami. – Wkrótce odjechała, tak jak się zjawiała, na koniu.

– Sama czy z tamtymi dwoma?

Zamrugął.

– Chyba raczej z tamtymi. Ten żółtek rozpytywał o nią po całym kraju, ale nikt inny jej nie widział. – A potem jakby poczuł, że udziela mu się moje przygnębienie, a wcale nie chciał go doświadczyć. – Jedno musisz przyznać, to pierwsze pewne wiadomości od nie wiem ilu... – zaczął liczyć na palcach, ale mu ich zabrakło – ...lat. Mam tylko nadzieję, że jest bogata. Mam nadzieję. Na pewno. Trzeba być bogatym, żeby się włóczyć po Afryce.

– Jej noga najprawdopodobniej nigdy nie powstała w Afryce – odparłem, wierząc w swoje słowa; a jednak wyobraziłem ją tam sobie, bo było to miejsce, do którego mogłaby się wybrać; no i ta rzeźbiona głowa: ponownie spojrzałem na zdjęcie.

– Skoro takiś mądry, to gdzie ona jest?

– Nie żyje. Albo siedzi w wariatkowie. Albo wyszła za mąż. Myślę, że wyszła za mąż, ustatkowała się i może mieszka nawet w tym mieście.

Zamyślił się na chwilę.

– Nie – odpowiedział, kręcąc głową. – Powiem ci, dlaczego nie. Gdyby mieszkała tutaj, spotkałbym ją. Bierzesz takiego człowieka jak ja, który lubi spacerować, który włóczy się po ulicach od dziesięciu albo dwunastu lat i przez cały ten czas wypatruje tylko jednej osoby i nikogo takiego nigdy nie widzi, no to chyba logiczne, że jej tutaj nie ma? Ciągle dostrzegam części jej ciała, płaski tyłeczek, zwracam uwagę na każdą chudą dziewczynę, która idzie szybko i z wyprostowanymi plecami... – Urwał, jak gdyby dostrzegł, że przyglądam mu się uważnie. – Myślisz, że mi odbiło?

– Po prostu nie zdawałem sobie sprawy, że jesteś w niej zakochany. Aż tak.

Pożałowałem swoich słów, bo wprowadziły go w

zakłopotanie. Zgarnął zdjęcia i schował do koperty. Spojrzałem na zegarek. Nie spieszyłem się donikąd, uznałem jednak, że lepiej będzie, jeśli sobie pójdę.

– Poczekaj – powiedział Joe Bell, chwytając mnie za przegub. – Oczywiście, że ją kochałem. Ale nie tak, bym chciał ją tknąć. – Potem dodał z poważną miną: – Nie to, żebym nie myślał o tych sprawach. Nawet w moim wieku się o nich myśli, a dziesiątego stycznia stuknie mi sześćdziesiąt siedem lat. To dziwne, ale im jestem starszy, tym bardziej te sprawy zajmują moją uwagę. Nawet gdy byłem młodzieniaszkiem, to nie pamiętam, bym tak często o tym myślał, to znaczy ciągle. Może jak człowiek się starzeje i coraz trudniej przekuć myśl w czyn, to dlatego wszystko to ciśnie się do głowy i staje ciężarem. Za każdym razem kiedy czytam w gazecie, jak stary mężczyzna się zblamował, wiem, że to z powodu tego ciężaru. Ale – nalał sobie i wypił kieliszek czystej whisky – ja nigdy się nie zblamuję. I przysięgam, że nigdy nie przyszło mi do głowy, by to zrobić z Holly. Można kogoś kochać bez takich rzeczy. Po prostu traktujesz takiego człowieka jak obcego, obcego, który jest twoim przyjacielem.

Do baru weszło dwóch mężczyzn i wydawało się, że to odpowiednia chwila, aby wyjść. Joe Bell odprowadził

mnie do drzwi. Znów chwycił mnie za przegub.

– Wierzysz w to?

– Że nie chciałeś jej tknąć?

– Chodzi mi o Afrykę.

W tamtej chwili jakbym zapomniał o całej historii; widziałem tylko postać jadącej konno Holly.

– Tak czy siak, nie ma jej.

– Taa – odparł, otwierając drzwi. – Po prostu jej nie ma.

Na dworze deszcz ustał i pozostała po nim tylko mgiełka w powietrzu, więc skręciłem za róg i ruszyłem w stronę kamienicy z piaskowca. To ulica z drzewami, które latem rzucają chłodne wzorzyste cienie na chodnik; teraz jednak liście były pożółkłe i w większości leżały na ziemi, a śliskie od deszczu usuwały się spod nóg. Kamienica stoi w połowie ulicy, obok kościoła z wieżą, na której niebieski zegar wybija godziny. Od tamtych czasów ją odchuchano: schludne czarne drzwi zastąpiły stare z przydymionego szkła, a eleganckie szare okiennice obramowują teraz okna. Z dawnych lokatorów, których pamiętałem, ostała się tylko madame Sapphia Spanella, krzepka sopranistka koloraturowa, która każdego popołudnia jeździła na wrotkach w Parku Centralnym. Wiem, że nadal tam mieszka, bo wszedłem po schodkach

i przyjrzałem się skrzynkom na listy. To właśnie dzięki jednej z tych skrzynek dowiedziałem się o istnieniu Holly Golightly.

*

Mieszkałem w kamienicy już od tygodnia, kiedy zauważyłem, że przy skrzynce należącej do mieszkania numer dwa wsunięto dziwny kartonik. Z nadrukiem, oficjalny jak od Cartiera, głosił: „Panna Holiday Golightly”. A poniżej, w rogu: „w podróży”. Słowa te nie dawały mi spokoju jak melodia: „Panna Holiday Golightly, w podróży”.

Pewnej nocy, było już dobrze po dwunastej, obudziło mnie wołanie pana Yunioshiego na schodach. Ponieważ mieszkał na najwyższym piętrze, jego głos, srogie i poirytowany, rozbrzmiał z góry po całym domu:

– Panno Golightly, zmuszony jestem zaprotestować!

Młody głos, który mu odpowiedział z dołu, wyrażał trzpiotowate rozbawienie:

– Och, skarbie, przepraszam. Zgubiłam ten cholerny klucz.

– Nie wolno pani dzwonić do mnie. Musi pani, bardzo, bardzo o to prosić, dorobić sobie własny klucz.

– Ale ciągle je gubię.

– Ja pracuję i muszę się wyspać! – krzyknął pan Yunioishi. – A pani zawsze dzwoni do mnie...

– Och, nie złość się, kochany mały człowieczku. Więcej tego nie zrobię. A jeśli obiecasz, że nie będziesz się złościł – głos się nasilał, bo kobieta wchodziła po schodach – to może zgodzę się, byś zrobił mi te zdjęcia, o których wspomniałeś.

W tej chwili wstałem już z łóżka i uchyliłem drzwi. Słyszałem milczenie pana Yunioishiego: słyszałem, bo milczeniu towarzyszył wyraźnie zmieniony rytm jego oddechu.

– Kiedy? – spytał.

Roześmiała się.

– Kiedyś – wymamrotała bełkotliwie.

– Ja mogę zawsze – rzekł i zamknął drzwi.

Wyszedłem na korytarz i wychyliłem się przez poręcz, ale tylko na tyle, żeby widzieć i zarazem nie być widzianym. Ona wciąż była na schodach, doszła do półpiętra i teraz światło padło na kolorowy melanz jej chłopięcych włosów: jasnobrązowe pasemka, żółte i albinosowate kosmyki. Była ciepła noc, prawie lato, więc miała na sobie przewiewną dopasowaną sukienkę w czarnym kolorze, czarne sandały i naszyjnik z pereł. Na przekór swej szykownej szczupłości tchnęła krzepkim

zdrowiem, czystością mydła i cytryny, z nierówną warstwą różu rumieniącego policzki. Miała duże usta i zadarty nos. Oczy przesłoniła okularami przeciwsłonecznymi. Była to twarz już nie dziecięca, lecz jeszcze nie całkiem należąca do kobiety. Uznałem, że dziewczyna może mieć od szesnastu do trzydziestu lat; jak się okazało, za dwa miesiące kończyła dziewiętnaście.

Nie była sama. Za nią podążał mężczyzna. Sposób, w jaki pulchną dłońią ścisnął ją za biodro, wydawał się trochę niewłaściwy – nie ze względów moralnych bynajmniej, lecz estetycznych. Był niski i tęgawy, opalony pod kwarcówką, z pomadą na włosach, w watowanym garniturze w prążki i z więdącym czerwonym goździkiem w klapie. Kiedy doszli do drzwi jej mieszkania, zaczęła szperać w torebce w poszukiwaniu klucza, w ogóle nie zwracając uwagi na to, że jego grube wargi muskają jej kark. Wreszcie, znalazłszy klucz, otworzyła drzwi, odwróciła się do niego i rzekła serdecznym tonem:

– Niech cię Bóg ozłoci, skarbie. Słodki jesteś, że odprowadziłeś mnie do domu.

– Ej, słoneczko! – krzyknął, bo drzwi już zamykały mu się przed nosem.

– Tak, Harry?

– Harry to był ten drugi. Ja jestem Sid. Sid Arbuck. Lubisz mnie przecież.

– Ubóstwiam. A teraz dobranoc, panie Arbuck.

Pan Arbuck patrzył z niedowierzaniem, gdy drzwi zatrzasnęły się z hukiem.

– Ej, słoneczko, wpuść mnie. Wpuść mnie. Przecież ci się podobam. Ja jestem taki facet, co się podoba. Przecież zapłaciłem rachunek za pięć osób, za twoich przyjaciół, a widziałem ich pierwszy raz w życiu. Czy to nie daje mi prawa do tego, żebyś mnie polubiła? Przecież ci się podobam, słoneczko.

Zapukał delikatnie, a potem głośniej, wreszcie cofnął się o parę kroków, kuląc i garbiąc, jak gdyby zamierzał zaszarżować i staranować drzwi. Zamiast tego rzucił się w dół po schodach, uderzając pięścią w ścianę. Gdy znalazł się na parterze, drzwi jednak się otworzyły i dziewczyna wystawiła głowę.

– Aha, panie Arbuck...

Odwrócił się, a na jego twarzy rozkwitł uśmiech wyrażający ulgę: więc ona się tylko droczy!

– Skorzystaj pan z mojej rady – zawołała, wcale się nie drocząc. – Następnym razem gdy kobieta chce skorzystać z toalety, daj jej pan trochę więcej niż

dwadzieścia centów!

*

Dotrzymała obietnicy złożonej panu Yunioshiemu; a przynajmniej zakładam, że więcej nie dzwoniła do jego mieszkania, bo w następnych dniach zaczęła dzwonić do mnie, czasem o drugiej, trzeciej, czwartej w nocy: bez żadnych skrupułów zrywała mnie z łóżka o najprzeróżniejszych porach, żebym wcisnął guzik, który odblokowuje drzwi wejściowe. Ponieważ miałem niewielu przyjaciół, a żaden nie zjawiłby się o tak późnej godzinie, zawsze wiedziałem, że to ona. Z początku jednak podchodziłem do drzwi, spodziewając się złych wieści, jakiegoś telegramu, ale to tylko panna Golightly wołała: „Przepraszam, skarbie, zapomniałam klucza!”.

Oczywiście wtedy jeszcze nie zawarliśmy znajomości. Chociaż tak naprawdę często spotykaliśmy się twarzą w twarz na schodach, na ulicy, ale ona jakby mnie nie dostrzegała. Zawsze nosiła ciemne okulary, zawsze była elegancko ubrana, a prostota jej strojów wyrażała konsekwentnie dobry gust: odcienie błękitu i szarości oraz brak blichtru, który sprawiał, że sama jaśniała tym większym blaskiem. Można było ją wziąć za modelkę, być może za młodą aktorkę, tyle że sądząc po jej

rozkładzie dnia, nie miała oczywiście czasu być ani jedną, ani drugą.

Widywałem ją też poza naszą dzielnicą. Pewnego razu krewny, który przyjechał z wizytą, zabrał mnie do „21”, a tam, przy najlepszym stoliku, w otoczeniu czterech mężczyzn, z których żaden nie był panem Arbuckiem, choć każdy mógłby go z powodzeniem zastąpić, siedziała panna Golightly, czesząc leniwie włosy na oczach wszystkich; wyraz jej twarzy, zduszone ziewnięcie, zgasił moje rozemocjonowanie z powodu tego, że jem kolację w tak eleganckim lokalu. Innego wieczoru, w środku lata, upał w mieszkaniu wygnał mnie na miasto. Poszedłem Trzecią Aleją do Pięćdziesiątej Pierwszej Ulicy, gdzie znajdował się salon z antykami, a w jego witrynie stał przedmiot, który budził mój zachwyt: klatka dla ptaków – istny pałac, meczet składający się z minaretów i bambusowych pokoików, które aż się prosiły, by zapelnąć je gadającymi papugami. Lecz kosztowała trzysta pięćdziesiąt dolarów. W drodze do domu zobaczyłem gromadkę taksówkarzy zebranych przez lokalem P.J. Clarka, których najwyraźniej zwabiła rozbawiona grupa australijskich oficerów o oczach zmętniałych od whisky, ryczących barytonem *Waltzing Matilda*. Śpiewając, kręcili na zmianę piruety z

dziewczyną na bruku pod wiaduktem kolejki miejskiej; dziewczyna, oczywiście była to panna Golightly, fruwała w ich ramionach lekko jak apaszka.

Lecz o ile panna Golightly pozostawała nieświadoma mego istnienia, z wyjątkiem wygodnej roli odźwiernego, to ja z upływem lata stałem się autorytetem w jej sprawach. Obserwując kosz na śmieci stojący przed jej mieszkaniem, odkryłem, że najchętniej czyta tabloidy, broszury turystyczne i horoskopy; że pali papierosy egzotycznej marki Picayunes; że żywi się białym serem i dietetycznymi tostami; że jej wielobarwne włosy to efekt wyboru. To samo źródło informacji ujawniło, że dziewczyna otrzymuje stopy listów z frontu. Zawsze podarte na paski, przypominały zakładki do książek. Czasem, przechodząc, brałem sobie jeden. Na tych karteluszkach najczęściej widniały słowa: „pamiętam”, „tęsknię za Tobą”, „deszcz”, „napisz, proszę” oraz „cholera” i „cholera jasna”. I jeszcze „samotność” i „miłość”.

Oprócz tego miała kota i grała na gitarze. W słoneczne dni myła głowę i razem z kotem, rudzielcem w tygrysie pręgi, siadała na schodach przeciwpożarowych i brzdąkała na gitarze, susząc włosy. Ilekroć słyszałem te dźwięki, stawałem po cichu przy oknie. Grała bardzo

dobrze, a czasem też śpiewała. Śpiewała chrapliwym, łamiącym się głosem chłopca, który przechodzi mutację. Znała wszystkie przeboje, także Cole'a Portera i Kurta Weilla; szczególnie lubiła piosenki z *Oklahoma!*, które tamtego lata były wszechobecną nowością. Ale czasem grała takie kawałki, że zastanawiałem się, skąd je zna i skąd sama pochodzi. Ospałe szorstko-rzewne melodyjki tchnące lasami sosnowymi albo prerią. Słowa do jednej brzmiały tak: „Ja nie chcę spać, ja nie chcę umierać, chcę tylko wędrować po pastwiskach nieba”, i ta chyba sprawiała jej największą przyjemność, bo grała ją jeszcze długo po tym, gdy włosy już wyschły, gdy zaszło słońce i o zmierzchu rozpały się światła w oknach.

Nasza znajomość nabrała rumieńców dopiero we wrześniu, pewnego wieczoru, kiedy dawało się odczuć pierwsze fale chłodu zapowiadającego jesień. Poszedłem do kina, a po powrocie do domu położyłem się w łóżku ze szklaneczką bourbona i najnowszą powieścią Simenona do poduszki: oto moje wyobrażenie idealnego komfortu, nie mogłem więc zrozumieć niepokoju, który tak się we mnie nasilił, że w końcu usłyszałem bicie własnego serca. Było to uczucie, o którym czytałem i pisałem, ale którego nigdy dotąd nie doświadczyłem. Uczucie, że jestem obserwowany. Że ktoś jest w pokoju.

A potem nagle skrobanie w okno i błysk czegoś upiornie szarego; wylałem bourbona. Dopiero po dłuższej chwili zebrałem się na odwagę, by otworzyć okno i spytać pannę Golightly, czego sobie życzy.

– Mam u siebie przerażającego mężczyznę – powiedziała, wskakując ze schodów przeciwpożarowych do środka. – To znaczy na trzeźwo jest słodki, ale niech tylko zacznie siorbać *vino*, no to mój Boże, *quel* potwór! Jeśli czegoś naprawdę nie znoszę, to mężczyzn, którzy gryzą. – Zsunęła z ramienia szlafrok z szarej flaneli, aby pokazać mi, co się dzieje, gdy mężczyzna gryzie. Nie miała na sobie nic innego. – Przepraszam, jeśli cię przestraszyłam. Ale gdy ten potwór zrobił się nie do zniesienia, wyszłam przez okno. On chyba myśli, że jestem w łazience, nie to, żeby mnie obchodziło, co on myśli, niech go cholera, zmęczy się, to zaśnie, Boże, chyba powinien zasnąć, osiem kieliszków martini przed kolacją i tyle wina, że można słonia wykąpać! Posłuchaj, możesz mnie wyrzucić, jeśli chcesz. To bezczelność z mojej strony tak wparować do ciebie. Ale na tych schodkach jest cholernie zimno. A ty wyglądasz tak milutko. Jak mój brat Fred. Spaliśmy we czworo w jednym łóżku i tylko on pozwalał mi się przytulić, gdy noc była zimna. Przy okazji, miałbyś coś przeciwko,

gdybym mówiła ci Fred? – Weszła już całkiem do pokoju i stanęła, patrząc na mnie. Po raz pierwszy zobaczyłem ją bez ciemnych okularów i teraz już wiedziałem, że to szkła optyczne, bo bez nich mrużyła powieki badawczo, jak jubiler. Jej oczy były duże, trochę niebieskie, trochę zielone, z brązowymi plamkami: wielobarwne jak włosy i, tak samo jak włosy, tchnęły żywym, ciepłym światłem. – Pewnie myślisz, że jestem tupeciara? Albo *très fou*. Albo coś.

– Wcale nie.

Wydawała się zawiedziona.

– A właśnie, że tak. Wszyscy tak myślą. Nie przeszkadza mi to. To się przydaje.

Usiadła na jednym z rozklekotanych foteli obitych czerwonym aksamitem, podkurczyła nogi i rozejrzała się po pokoju, jeszcze mocniej mrużąc oczy.

– Jak ty tu wytrzymujesz? To jakiś gabinet grozy.

– Och, człowiek do wszystkiego może przywyknąć – odparłem ze złością, bo tak naprawdę byłem dumny z tego mieszkania.

– Ja nie. Ja nigdy nie przywyknę do pewnych rzeczy. Jak ktoś tak robi, to równie dobrze mógłby nie żyć. – Znów popatrzyła dokoła z dezaprobatą. – Co ty tu robisz całymi dniami?